

Dzień dzisiejszy

O D lat toczy się dyskusja nad specyfiką telewizji. Szuka się odpowiednich form i środków wyrazu, najbardziej efektywnych, skutecznych i adekwatnych dla programów i widowisk prezentowanych na szklanym ekranie. Prawdopodobnie upłynęło wiele wody w Wiele zanim te najważniejsze formy i kształty ostatecznie się wyklarują. I — jak to zwykle bywa — niedługo potem uznane zostaną za tradycyjne, przestarzałe. Poszukiwania rozpoczyna się od nowa. Nic w tym niezwykłego. Na tym w końcu m. in. polega rozwój sztuki i kultury. Tak było z literaturą, która dziś nie przypomina klasycznych schematów XIX-wiecznej powieści, tak było z filmem, który też stopniowo oddala się od tradycyjnych form konstrukcji i narracji, podobnie rzecz się ma z teatrem itd.

Oczywiście, z tego wszystkiego nie należy wyciągać wniosku, że szlifowanie, docieranie „telewizyjnej” formy (nawet u nas, gdzie skromne możliwości finansowe i techniczne są częstokroć przeszkodą nie do przebycia) jest czymś mało ważnym, niepotrzebnym. Wydaje mi się jednak, że o owej specyfice telewizji w równym (jeżeli nie większym) stopniu decyduje nie tylko forma, ale i treść, materia programu.

Nietrudno już dziś, po 10 latach istnienia TV w Polsce, zorientować się jakiego rodzaju treści, materiały i programy sprawdziły się jako par excellence „telewizyjne”. Nie filmy i nie programy rozrywkowe, nawet nie znakomity na ogół teatr TV, nie transmisje z olimpiad i wielkich wydarzeń. Tą najmocniejszą stroną programu telewizyjnego są i będą chyba zawsze pozycje, w których do głosu dochodzą autentyczne fakty i problemy dotyczące istotnych spraw dnia dzisiejszego lub niedawnej przeszłości, w których do głosu dochodzą ludzie z ich konfliktami i życiorysami. Im bardziej te fakty, problemy, konflikty są niezabłowne, kontrowersyjne, nie ugrzeczniane, nie łagodzone, nie rozwadniane — tym większy ich właśnie „telewizyjny” walor, sens, a także społeczna wymowa. Dowodem na to powodzenie np. programów pt. „Wszyscy jesteśmy sędziami” czy aktualnie kontynuowanego cyklu „Bez apelacji” — mimo różnych pomyłek i potknięć. Szkoda, że tego rodzaju pozycje (do których zaliczyłbym także niektóre reportaże z serii „Ludzie i wydarzenia” i magazynu „Miniatury”) stanowią ciągle stosunkowo skromną część programu naszej TV.

Autentyzm faktów, problematyka społeczna w najszerzym tego słowa rozumieniu, owo przysłowiowe „samo życie”

(oczywiście, prezentowane nie w sposób naturalistyczny, bez selekcji, bez wartościowania zjawisk) jest i być powinno siłą, podstawą istnienia i działania telewizji. Przekonaliśmy się o tym i w ciągu minionego tygodnia, niezbyt bogatego w atrakcje (poza „Szklaną miedziolę”).

Jak wiadomo, znacznym powodzeniem cieszył się radziecki czteroodcinkowy film telewizyjny „Minerzy podniebnych dróg”. Myślę, że o tym powodzeniu zdecydował właśnie autentyzm faktów i zdarzeń. Na

zakończenie projekcji zorganizowano spotkanie w studio. Było to spotkanie niecodzienne. Obok realizatorów i wykonawców zasiadli bowiem bohaterowie filmu. Bohaterowie w podwójnym znaczeniu. Oni bowiem, ci dwaj skromni obywatele naszego kraju, Tyma i Mesjass, przed z górą 20 laty dokonywali wraz z nieżyjącymi już ich towarzyszymi niezwykłych, bohaterskich czynów w niemieckiej bazie lotniczej na okupowanej ziemi radzieckiej. Teoretycznie było to jedno z wielu spotkań przed kamerą. A przecież udział tych ludzi, żywych i autentycznych, ludzi z bogatymi i nieprostymi życiorysami, nadał mu od razu inną rangę, inny wymiar, inną temperaturę.

Podobnie rzecz się miała i z kolejnym programem z cyklu „Ośmiu sprawiedliwych”, transmitowanym tym razem z Góry Kalwarii. Założony schemat (wywoływanie kolejnych „prelegentów” — jak do tablicy) spowodował w rezultacie pewną monotonię, jednostajność programu. Monotonia gineła jednak natychmiast, gdy zjawiali się ludzie. Krótka opowieść J. Ficowskiego o dramatycznych przeżyciach okupacyjnych jednego z mieszkańców miasteczka, o cichym bohaterstwie ukrywającej go wiejskiej kobiety — nie wywołałaby zapewne takiego napięcia i skupienia, gdyby kamera nie pokazała nam tych ludzi, siedzących wśród innych uczestników programu.

I wreszcie spektakl („Moja droga do Polski”) olsztyńskiej sceny im. Jaracza, zaprezentowany w ramach II telewizyjnego festiwalu teatralnego. I tu o sukcesie tego kameralnego widowiska zdecydowała nie tylko jego telewizyjna forma, nie tylko znakomita kreacja Haliny Stojewskiej w trudnej roli, ale przede wszystkim samo dzieło. — autentyczne pamiętniki mazurskiej dziewczyny, Hejdy Macech, zaadaptowane na scenę przez B. Kurońskiego. Mówi się w nich o trudnych, często bolesnych sprawach i doświadczeniach, jakie stały się udziałem autochtonów po przywróceniu Polsce Warmii i Mazur. Mówi się nie unikając tematów drażliwych, z całą ostrością i szczerością. I tylko dzięki temu optymistyczny finał tej wybolstej „drogi do Polski” jest tak przekonujący i naturalny. Dzięki autentyzmowi materiału, dzięki prawdzie o ludzkich losach zawartej w pamiętnikach młodej nauczycielki — oglądaliśmy ten spektakl nie, jak widowisko teatralne, ale jak dokument. Mocny, przekonujący, angażujący dokument.